

DZIEŁA ZEBRANE
TOM VI

Pod redakcją Macieja Urbanowskiego

STANISŁAW REMBEK

Wyrok na
Franciszka Kłosa

Państwowy Instytut Wydawniczy

*Szatanie!
Ty kościotrupa chwyciłeś pod ramię
i na wysokość jego jasnej kosi
wzrosłeś w niebiosy –
a grom nie pada!
Z nieukojoną żalobą
klękam przed Tobą.*

Jan Kasprawicz¹

¹ Z hymnu *Święty Boże, święty mocny* (w. 477–482) Jana Kasprawicza z roku 1899, przedruk w tomie *Ginącemu światu* (1901).

1

Nieodgadniony Stwórca świata i człowieka nie stworzył chyba w naszym życiu doczesnym straszniejszego cierpienia ponad wyniszczającą siły fizyczne i duchowe grozę zbliżającego się powoli niebezpieczeństwa.

Toteż kiedy Franciszek Kłos, plutonowy policji państwowej, którą w czasach okupacji niemieckiej nazywano „granatową”¹, otrzymał list z wyrokiem śmierci, zdziwił się, że to zdarzenie tak mało go przeraziło. „Nareszcie!” Wyraz ten zamykał w tej chwili cały stan jego umysłu i serca; stan doraźnej ulgi, gorzkiej i zarazem wyzywającej, tragicznej i buntowniczej, ale mimo wszystko – ulgi. Skończyło się przynajmniej wielotygodniowe oczekiwanie i niepewność. „Mogli mnie przecie rozwalić, nie uprzedzając. A tak wiem chociaż, czego się trzymać”. Złożył pismo ze starannością, jaka go zawsze cechowała, i schował je do kieszeni.

Jego żona, wysoka, smukła i nerwowa blondynka o dużych bladoniebieskich oczach, w letniej powiewnej sukience w niebieskie i czerwone kwiaty, śledziła z trwogą jego

1 Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa, od koloru mundurów potocznie nazywana granatową, powołana w grudniu 1939 roku, była finansowana przez polskie samorządy, podporządkowana lokalnym komendantom niemieckiej policji.

twarz i ruchy. Ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi postąpiła ku niemu parę kroków.

– No, czego stoisz i gapisz się jak krowa na malowane wrota? – warknął, zdejmując pas z rewolwerem oraz mundur i ciskając to wszystko ze złością na wysoko zasłane i pokryte ciemnozieloną, wzorzystą kapą łóżko. – Wiesz chyba, że wracam ze służby. Dawaj co żreć!

Wrócił do kuchni, gdzie państwo Kłosowie, mimo mieszkania złożonego z trzech izb, zwykli byli jadać.

Pani Kłosowa, zahukana przez swojego drobnego i szczupłego męża, nie posłuchała go tym razem. Pobiegła za nim z wyciągniętymi ramionami, z brwiami wykrzywionymi w zygzak rozpacz.

– Franek!

Było w jej głosie coś tak rozdzierającego, że Kłos nagle stracił pewność siebie. Jakby mu ktoś przycisnął silnie łokciem klatkę piersiową. Gdy zakasywał rękawy przepoconej koszuli, ręce mu już drżały.

– Bój się Boga, kobieto! Nie jesteś chyba całkiem głupia? Rozumiesz przecie, że jak wracam po tyłu godzinach nocnej służby, to muszę być głodny jak pies!

– Franuś, ty mnie nie okłamuj! Patrz mi prosto w oczy! Co jest w tym liście?

– Co jest, to jest, a tobie nic do tego. Jest to zresztą tajemnica służbowa. A teraz pytam się po raz trzeci: dajesz obiad czy nie?

Rozsiadł się za stołem kuchennym na starej kanapie, aż jęknęły sprężyny, i zapatrzył nieprzytomnie w szarą, o żółtawych brzegach, plamę na suficie. Naraz otrząsnął się.

– Gdzie jest ten bimber skonfiskowany u Grabarkowej? Dawaj no go!

Pani Kłosowa, która właśnie rozdmuchiwała ogień pod blachą, odwróciła ku niemu zatrwożone oczy.

– Znowu będziesz pił? Już nie pamiętam, żebyś kiedy wrócił wieczorem niepijany. A teraz zaczynasz już od rana?

– Postaw na stole ten bimber i podaj tymczasem jaką zagrychę.

– Posłuchaj mnie, Franuś! Biedna Grabarkowa już dwa razy tu była w sprawie tego gąsiorka i wędlin. Jeszcze za to wszystko nie zdążyła nawet zapłacić, a teraz nie ma już zupełnie czym handlować. Nie powinienes, Franuś, krzywdzić takiej nędzy.

– Bimbrem ani mięsem z nielegalnego uboju handlować nie wolno. Jak ma pretensję, to może jeszcze zapłacić karę albo wyjechać do Treblinki¹.

Spod przyszczyżonych krótko czarnych wąsów błysnęły mu białe zęby. Krótkim ruchem uderzył pięścią w stół.

– Psiakrew! Popamiętają mnie jeszcze!

Przerażona pani Kłosowa stawiała już przed nim parolitrowy gąsior, kieliszek, chleb, masło i ogórek kiszony.

Kłos odsunął kieliszek środkowym palcem.

– Daj szklankę!

Nalał sobie więcej niż połowę i wychylił paroma łykami, nie odejmując od ust. Potem chuchnął z ogromnym niesmakiem i zagryzł ogórkiem.

Żona tymczasem podawała mu talerz z odgrzaną, suto okraszoną grochówką. Milczeli oboje. Po pewnym czasie Kłos poczuł, jak wszystkie członki napelnia mu miłe ciepło, a w głowie rozświeca się jak w mieście podczas nocnego bombardowania, gdy samoloty nieprzyjacielskie opuszczają pęki jaskrawych rakiet. I w tej chwili jakby w piersi podskoczyła mu radosna myśl: „Lipa! Wszystko lipa! Nie było nade mną żadnego sądu. W ogóle skąd by tu u nas mogła

¹ W pobliżu wsi Treblinka (obecne woj. mazowieckie) od lipca 1942 do listopada 1943 roku funkcjonował niemiecki nazistowski obóz zagłady; zamordowano w nim ok. 800 tys. Żydów.

działać jakaś tajna organizacja? To jakieś szczeniaki chciały mnie nastraszyć albo jeszcze prędzej rozmaite szwarcownicy¹ i sklepikarze! I wykryję, kto to napisał, choćby się drań, swołocz, pod ziemię wkręcił!”

Rzeczywiście na terenie naszego powiatu nie było dotychczas żadnego zamachu ani w ogóle jakiegokolwiek demonstracji. W dniu zajmowania naszego miasta na początku września 1939 roku rozstrzelano co prawda pod starą cegielnią trzynastu Polaków, w tym dziesięcioletniego chłopczyka, który wybiegł za ojcem – jakoby w odwet za zastrzelenie żołnierza niemieckiego. Ale przede wszystkim stało się to jeszcze w czasie działań wojennych, kiedy wiele odciętych oddziałów polskich broniło się po lasach, a po drugie dziwnym zbiegiem okoliczności podobne egzekucje odbyły się dokładnie we wszystkich miasteczkach, a nawet często i wsiach, do których wkraczały wojska niemieckie. Toteż wszyscy byliśmy przekonani, że mordy te były z góry uplanowane przez naczelne władze hitlerowskie dla sterroryzowania ludności, a wiadomości o rzekomo zastrzelonych przez ludność cywilną Niemcach – zwykłym wymysłem propagandowym dla judzenia przeciw Polakom szarych mas żołnierskich.

Drugim razem rozstrzelano w oddalonych od nas o dwaście kilometrów Przebitkach dziesięciu tamtejszych obywateli za skałeczenie folksdojczy². Ale i w tym wypadku nie tylko nie miało to tła politycznego, ale według zgodnej opinii świadków również kłamliwe oświetlenie. Świeżo upieczony Niemiec, którym okazał się karany sądownie

1 Szwarcownik (dawn.) – przemytnik.

2 Folksdojcz (z niem. *Volksdeutsch*) – osoba pochodzenia niemieckiego, zamieszkująca poza granicami Niemiec. W czasie II wojny nazywano tak obywateli innych państw, którzy zostali wpisani na niemiecką listę narodowościową (*volksliste*) i zostali zakwalifikowani do najwyższej kategorii w niej wyszczególnionej.

przed wojną za sprzeniewierzenie i wydalony urzędnik magistratu, był wtedy całkowicie pijany, a ranił go bagnetem właśnie żołnierz niemiecki, który razem z nim pił. Opowiadano nawet, że do zatargu doszło właśnie wtedy, gdy ów żołnierz dowiedział się, że ma do czynienia nie z prawdziwym Polakiem, tylko ze „świnia koniunkturalną”, jak ogół Niemców nazywał służalców hitlerowskich. Po prostu więc rzekomy odwet był zastosowaniem zasady zawsze zresztą później praktykowanej przez władze okupacyjne, że ilekroć ujawni się jakieś przestępstwo, nigdy nie może być winien osobnik rasy niemieckiej; oraz drugiej, że gdzie tylko przeleje się choć kropla krwi niemieckiej, tam zawsze musi paść większa liczba Polaków. W każdym bądź razie dotychczas Polacy byli mordowani bezkarnie z tą świadomością, że wszelki opór z ich strony pociągnie za sobą bezwzględną zagładę ich rodzin oraz rodzin sąsiadów.

Rozważania te snuł Kłós już po drugiej szklance samogonu. Jego pewność siebie, poczucie bezpieczeństwa oraz dobry nastrój wzrastały coraz bardziej. Zaczął też już łaskawiej odnosić się do żony, a nawet pochwalił ją za dobrze przyrządzony schab.

Naraz w sieni zaszeleściły jakieś kroki i zaszczękała klamka od drzwi kuchennych. Kłós poczuł przenikliwy ból we wszystkich kończynach, jakby mu szpik w kościach błyskawicznie zamarznął. Trwało to sekundę. W następnej chwili zdążył wyrwać rewolwer z pochwy, odsunąć kanapę i ukryć się za nią, wystawiając lufę. „Jeżeli ich będzie tylko dwóch, to jednego położę, zanim mnie dostrzeżę, a z drugim – też jakoś będzie”.

Pani Kłósowa patrzyła na zachowanie męża z nieopisanym przerażeniem. Stała przy piecu kuchennym z opuszczonymi bezradnie rękami i z otwartymi, dość zresztą szerokimi ustami.

Klamka poruszała się ciągle. Zawsze się zacinała. „Strzelać – nie strzelać?”

Pani Kłosowa zrobiła krok w stronę drzwi. Kłos rzucił jej dzikie spojrzenie oraz groźny szept przez zaciśnięte zęby:

– Nie waż się ruszać!

Równocześnie odruchowo skierował wylot lufy w jej stronę. Pani Kłosowa zmartwiała w jeszcze większej, jeśli to było możliwe, grozie.

Tymczasem drzwi nareszcie odemknęły się wolno i do kuchni wkroczyła wysoka, chuda kobieta w czarnej, długiej sukni i również czarnej koronkowej chustce na głowie. Była to matka Kłosa.

Miała twarz żółtawą i pomarszczoną, wargi sine, wąskie i ściągnięte oraz starcze oczy, głęboko osadzone w oczodołach. Spojrzała nimi bystro na syna, który nieco zmieszany rzucił rewolwer i przysuwał z powrotem kanapę do ściany.

Jego żona przyskoczyła do świekry z wyciągniętymi ramionami i wybuchnęła głośnym płaczem.

– Mamo, ja już dłużej nie mogę! Co ten Franek wyprawia! Ciągłe pije! W tej chwili chciał strzelać do mamy, a potem do mnie! Dostał dzisiaj jakiś list i nie chce mi nawet powiedzieć, od kogo!

Starsza pani Kłosowa zbliżyła się do stołu, jeszcze mocniej ściągając swoje sine wargi, chwyciła gąsior i zaczęła w milczeniu wylewać jego zawartość do kubła z pomyjami. Synowa chwyciła ją za rękę.

– Niech mama nie wylewa! To jest bimber Grabarkowej. Franek go jej wczoraj skonfiskował, a co ona biedna ma robić? Wysiedlona, męża jej wzięli do Oświęcimia, musi przecież z czegoś żyć. To założyła sobie przy pomocy dobrych ludzi tę budkę i handluje. Trzeba przecież żyć z ludźmi i ich rozumieć.